

Kim jest Papież?

Paweł Milcarek



Jest rok 2013, już lato. Kościołem katolickim rządzi dwieście sześćdziesiąty piąty następca świętego Piotra – nasz Papież Franciszek, jedyny Biskup Rzymu.

Jednak jeszcze niedawno – możemy to nadal mierzyć w miesiącach, jeśli nie w tygodniach – w miejscu Franciszka stał ktoś inny: Benedykt XVI. Po blisko ośmiu latach pontyfikatu zaskoczył nas wszystkich swoją decyzją o rezygnacji. Zaskoczył – i sprowokował do sięgnięcia po zupełnie podstawowe, źródłowe objaśnienia tego, kim jest Papież i jakie znaczenie w pełnieniu jego posługi ma konkretna osoba.

Zadajmy więc sobie jeszcze raz te podstawowe pytania.

Pytanie pierwsze: Kim jest Papież? Odpowiedź: Zastępcą Jezusa Chrystusa na ziemi.

Pytanie drugie: Jak zostaje się Papieżem? Odpowiedź: Będąc (kolejnym) następcą świętego Piotra na rzymskiej Stolicy Biskupiej.

Oto dwie kwestie, w których wiara katolicka opisze – najkrócej, ale kompletnie – tę tajemnicę: papieństwo. Dwie kwestie, które są ze sobą nierozdzielne: zastępstwo i następstwo.

Zastępstwo – ponieważ Papież nie posiada swojej własnej władzy, nawet w tym sensie, w jakim posiadali ją kiedyś namaszczeni królowie „z Bożej łaski”. Potężna i nieporównywalna z niczym – niemierzalna w „dywizjach” i zupełnie inna od władzy ziemskich autokratów – duchowa władza Papieża jest co do swej zasady czymś niewyobrażalnym w świeckich kategoriach.

W świecie pełnym i dziś „głów państw” Papież nie jest taką właśnie „głową”, głową Kościoła. W dokumentach poświęconych tej kwestii Papież, jak Pius XII w *Mystici corporis*, wkładali nieraz dużo starania, by precyzyjnie opisać tę Prawdę wiary: Kościół nie

ma dwóch głów, jedyną jego Głową jest Chrystus w niebie – reprezentowany na ziemi przez Papieża, swego Wikariusza.

Kościół wierzy, że do tego zastępowania Jezus upoważnił Piotra. Piotra i jego następców.

A więc: następstwo. Wśród wielu biskupów – następców Apostołów, dziś w liczbie tak potężnie większej od pierwszej dwunastki uczniów Jezusa – tylko Papież jest aktualnym następcą świętego Piotra. Dlatego zawsze jest jeden, tylko jeden Papież – choć, jak wiadomo, w średniowieczu chrześcijaństwo bywało rozdzielane sporami między dwoma lub nawet trzema biskupami pretendującymi do rangi „następcy świętego Piotra”. A jednak wszyscy uczestnicy tamtych dramatycznych sporów mieli świadomość, że prawdziwy Papież może być tylko jeden. Jak Piotr. I że – niezależnie od aktualnego miejsca pobytu – Papieżem jest ten, kto jest prawowitym Biskupem Rzymu.

Z gorszących sporów można więc było wyciągnąć pouczającą lekcję: Papieżem nie jest ten, kto większy, wymowniejszy lub nawet świętszy; Papieżem jest po prostu ten, kto naprawdę i prawowicie wszedł w następstwo Piotra Apostoła.

Przez wszystkie wieki łańcuch logiczny nauki katolickiej jest więc w ten sposób niezmienny: Biskup Rzymu jest następcą Piotra, zaś jedynie Piotr został wyróżniony poleceniem Chrystusa, by rządził „owcami i barankami”, całą „owczarnią”; by rządził Kościołem w zastępstwie jego Głowy.

Logiczność tego wywodu nie zmienia oczywiście faktu, że jest to kwestia wiary, składnik katolickiego *Credo*, coś w sumie daleko przekraczające ludzkie rachuby i „granice rozumu”. Przytaczane w dotyczących tej kwestii fragmentach encyklik papieskich czy dokumentów soborowych świadectwa i fakty historyczne sprawiają, że brzmi to wiarygodnie i nie ma w sobie nic z irracjonalności – lecz nic więcej. Żeby to objąć naprawdę, trzeba uwierzyć, że Bóg chce zbawiać ludzi przez wejście w ich historię – i że poszedł w tym do ostatnich, najbardziej ryzykownych konsekwencji, udzielając jednemu z ludzi swojej własnej, Boskiej władzy duchowej.

Trzeba uwierzyć, że konkretny człowiek w konkretnych warunkach otrzymuje tę władzę – zastępczo, lecz rzeczywiście. Na tym polega tajemnica Papieży i ich racji bytu: papiestwa, Piotrowej misji zastępowania Chrystusa na ziemi.

Dlatego w portrecie Papieża zawsze najważniejsze są ramy, a nie sam portret. Portret opisuje osobistą świętość, grzeszność lub nijakość tego chrześcijanina, który został i był lub jest Papieżem. Owszem, przyznajmy, że pozostaje to – zwłaszcza świętość – nie bez znamienia pełnionej funkcji biskupiej i papieskiej. Jednak bycie Papieżem przychodzi z powodu ramy, a nie rysów portretu. Próbując odnaleźć wśród innych postaci Papieża, szukamy nie jakiegoś wrodzonego podobieństwa do Piotra czy najbardziej przejmujących gestów naśladowania Chrystusa – lecz owej ramy: włączenia w misję Piotrową. Jedynej ramy w dalszym ciągu dającej się odłączyć od portretu. Co więcej: ramy służącej już wielu portretom, choć nigdy nie więcej niż jednemu naraz.

Poza tą ramą niemal wszystko się zmieniało przez wieki – postaci Papieży pokornych i nerwusów, świętych i grzeszników, pracowitych administratorów i głośnych „krzykaczy”, mistyków i światowców... Skrajna, nieraz gorsząca różnorodność tych ludzkich typów bywała wyzwaniem dla wiary członków Kościoła, przedmiotem kpin jego krytyków. Jednak na prawdziwych głębiach, poniżej aktualnych zgorzeń i sporów mogła zawsze znajdować się – dzięki owej „ramie” okalającej każdy portret – ta niezwykła pewność, którą nawet Moryc z *Ziemi obiecanej* potrafił wyrazić w swym pełnym podziwu wykrzykniku „człowieka interesu”: „Papież! To jest firma!”.

Napisano już niejedną historię papiestwa i Papieży. Autorzy niektórych są przede wszystkim pod wrażeniem potężnej ludzkiej różnorodności w osobowościach Papieży. Z takich książek dowiadujemy się np., że jeden z nich był mistykiem, a drugi administratorem etc. Są też książki, w których pokazuje się reakcję Papieży na zmiany w świecie: że jeden bał się kolei, zaś drugi jako jeden z pierwszych wielkich nagrywał swój głos na fonografy – z czego ma wynikać, że jeden był konserwatystą, a drugi – człowiekiem nowoczesnym.

We wszystkich tych książkach – o ile tylko są napisane solidnie z punktu widzenia rzemiosła historyka – można oczywiście odnaleźć mnóstwo rzeczy interesujących. Czy są one jednak naprawdę historiami papiestwa?

No cóż, może kłopot ma charakter zupełnie podstawowy. Nie jest przecież rzeczą oczywistą, że tajemnice wiary – a jest nią

papiestwo, urząd Piotrowy – mają swoją historię. Historia to przecież zmiana, ciąg zmian – a w czym i w jaki sposób miałyby się zmieniać tajemnica wiary? Instynktownie i z niejaką nadzieją właśnie tajemnice wiary traktuje się – przynajmniej w środowiskach osób wierzących – jako coś niezmiennego, niepodlegającego dezaktualizacji. W końcu tajemnica wiary to rąbek Prawdy Boga, a w Bogu nie ma zmienności i zaprzeczania sobie czy choćby szukania po omacku.

Dlatego Prawda obecna w tajemnicach wiary jest rzeczywiście niezmienna. Co jednak, jeśli Prawda ta pada jak światło na zmienny bieg spraw ludzkich; gdy światło to nie odbija się od tych spraw, lecz wnika w nie, zstępuje nawet w najostrejsze zawirowania, świeci wśród żywiołów i poprzez nie? Wtedy wydaje się nam, że światło musi się „złamać” jak w pryzmacie; że jest już inne niż wcześniej, roztopione, rozrywane przez materię, z którą się mieszało.

Patrząc na to, można pomyśleć, że ten bieg zmiany ludzkich spraw jest niczym innym, jak czymś obcym dla Prawdy; że w najlepszym razie jest złudzeniem poddanym niezmienności, a w razie najgorszym – sposobem odcinania umysłów ludzkich od niezmiennej Prawdy.

Są to niepokoje, z których zrodziła się wielka tradycja filozoficzna naszej cywilizacji – więc nie są to niepokoje byle jakie. Jednak jeśli mowa o tajemnicy wiary – w jej chrześcijańskim sensie – to przeciwstawienie zmiennego i niezmiennego, duchowego i cielesnego, prawdziwego i złudnego okaże się natychmiast niewystarczające.

W samym centrum wiary chrześcijańskiej stoi historia o wcielonym Słowie Bożym, które nie tylko zrodziło się na sposób ludzki, ale następnie w tajemniczej obecności między nami „rosło i umacniało się”, „wzrastało w mądrości i w latach, i w łasce u Boga i u ludzi”.

Rodzić się, rosnąć, umacniać się – to opis zmian, choć zakładających ciągłość i identyczność tego, kto przecież pozostaje ciągle tym samym, mimo że rodzi się, rośnie, umacnia, a nawet uczy się nowego i zbiera nowe doświadczenia. Niezmiennie i przedwieczne Słowo Boże właśnie tak weszło w historię ludzi. Weszło nie jako promień światła załamujący się w pryzmacie – lecz jak życie nadające ciągłość i energię wszystkiemu, co napełniło.

To, co w niezwykle sposób dotyczyło Chrystusa, Boga-Człowieka, odnosi się jeszcze mocniej do Kościoła, świętej instytucji mającej w sobie ludzi; a w Kościele – dotyczy też papiestwa.

Z papiestwem jest więc tak jak np. ze Mszą świętą: jest to samo od początku i aż do końca czasów niezmiennie w swej istocie – a jednak jakże wiele zawdzięcza swej historii!

Zapoczątkowane w Piotrze Apostole papiestwo rodziło się i kształtowało przez wieki – by pozostać zawsze sobą w misji utwierdzenia Kościoła. Będąc zawsze tajemnicą wiary – czymś przychodzącym w świat spoza jego możliwości tworzenia i pojmowania – misja Piotrowa była pośród świata jak ziarno, które „rozpakowuje się” przez wieki swego istnienia: zawsze ta sama i dlatego tak rozmaicie obecna w zmiennych kolejach świata.

Co więcej, wciąż to samo od początku, papiestwo właśnie poprzez próby owych zmiennych kolei losu rozpoznawało (rozpoznaje) wyraźniej swe kontury, moc swej łaski – czasami poprzez kontrast z ludzką słabością wykonawców misji Piotra.

Urząd ten zawdzięcza tak wiele etapowi, w którym piastował go Piotr Apostoł, że zawsze będzie nazywany „urzędem Piotrowym”, *munus Petrinum*. Dla papiestwa Piotr jest jak kiedyś, przed grzechem Adam dla ludzkości: był pierwszy i w nim umieszczono dary i obietnice przeznaczone dla wszystkich innych w jego „rodzie”.

W pewnym sensie już w Piotrze jest wszystko, co tworzy papiestwo. Jednak tym, co ujawnia się najmocniej, jest to, co w papiestwie najbardziej fundamentalne: zastępstwo względem Chrystusa. Papież jest „Wikariuszem Chrystusa”, Jego namiestnikiem. Papieżem jest ten, kto na ziemi zastępuje Chrystusa przebywającego w niebie. A zastępuje nie we wszystkim – lecz w rządzeniu Kościołem: ogółem chrześcijan i każdym z osobna. Co więcej, to właśnie w stosunku do Piotra padły słowa wskazujące na to, że Piotr zastępuje Chrystusa nie tylko w rządzeniu, lecz jest – znowu w miejscu Chrystusa – opoką-fundamentem, na którym Kościół zostaje zbudowany. Stąd znany skrót: *Ubi Petrus, ibi Ecclesia* – Gdzie Piotr, tam Kościół.

Piotr zaś zawędrował do Rzymu, stolicy Imperium. Tutaj wykonywał swój urząd pasterski, gdy go uwięziono i umęczono. Jednak urząd Piotrowy nie przeniósł się wraz z Piotrem do nieba.

Po świętym Piotrze – Linus. W tym drugim Papieżu, wspomnianym do dziś z kilkoma innymi w rzymskim Kanonie mszalnym, uwyraźniło się coś, czego w samym Piotrze naturalnie nie można było jeszcze doświadczyć: następstwo po Piotrze, sukcesja Piotrowa. Odtąd każdy Papież to następca świętego Piotra. Jeśli tak nazywamy dziś Papieży, to „pierwszym” był Linus: zastępca Chrystusa i następca Piotra.

Czy zdajemy sobie dzisiaj sprawę, jak potężny „przeskok” dokonał się w tej kontynuacji między Piotrem i Linusem? Po raz pierwszy obietnice i zadania zlecone Piotrowi przechodziły na innego człowieka, jego następcę. W praktyce „urząd Piotrowy” oddzielał się od osoby Piotra.

Następcą Piotra nie został ktoś posiadający wcześniej podobną do niego godność, np. inny Apostoł. Jako pierwszy następca święty Linus musiał chyba mieć coś w rodzaju poczucia, że „po wielkim Piotrze przyszedł teraz pokorny pracownik winnicy Pańskiej”. Ciekawe, jak często porównywano go z Piotrem... A przecież to on – i tylko on, nie święty Piotr w niebie – był wówczas Biskupem Rzymu, opoką Kościoła.

Na tym etapie z wnętrza upoważnienia danego Piotrowi przez Chrystusa „rozpakowała się” już istota papieżstwa: bycie zastępcą Chrystusa przez bycie następcą świętego Piotra na Stolicy Rzymskiej. Do dziś jest to rama, przez którą ten czy ów był w ciągu wieków Papieżem.

Jednak cały Kościół i jego rzymska gmina czy diecezja miały przed sobą jeszcze wiele doświadczeń i związanych z nimi odkryć, przez które to, co istotne i niezbędne w byciu Papieżem, odrywało się od konkretnej postaci Piotra, a wiązało z tajemnicą „urzędu Piotrowego”.

Po szeregu Biskupów Rzymu, którzy – jak Piotr – kończyli swój pontyfikat śmiercią męczeńską, musiał (choć wciąż była epoka prześladowań!) przyjść czas na pierwszego Papieża, który po prostu, choć święty człowiek, umarł „w łóżku” (można by pytać, czy ówczesni gorliwcy nie wyrzucali mu tego „zaniedbania”). Potem był i taki – święty Poncjusz z III wieku – który zrezygnował z urzędu, gdy zesłany do kamieniołomów, chciał ułatwić wybór swego następcy...

Jednak nadal byli to święci Papieże – zalicza się do nich nawet Liberiusz, z połowy IV wieku, pierwszy i chyba jedyny z Biskupów Rzymu, którego udało się „złamać” heretykom i przymusić do wyrzeczenia się prawowiernej nauki. Ale już dwa wieki później ta nieprzerwana linia Papieży, będących równocześnie świętymi, przerywa się po raz pierwszy, a nad głowami kilku następców świętego Piotra brak aureoli. Nie był to drobiazg: wraz z Papieżami nie świętymi lub byle jakimi, chwiejnymi jak Wigiliusz z VI wieku, autorytet Rzymu mocno ucierpiał. Ale urząd Piotrowy trwał, dokładnie ten sam – aż znowu mogli z niego wydobyć wysokie tony Papieże tak wielcy jak Grzegorz I Wielki z przełomu VI i VII wieku.

Nikt jeszcze nie przewidywał, do jak spektakularnych upadków stoczą się niektórzy Papieże w wiekach średnich i w renesansie, czasami nie do odróżnienia od zupełnie świeckich smakoszy uciech tego świata lub przewrotnych intrygantów, a gorsi przez skandal. Mimo to ci źli ludzie, kiepscy chrześcijanie byli przy tym jeszcze kimś innym: prawdziwymi i niezastąpionymi powiernikami obietnic, choć tak rzadko czynili z tego właściwy użytek.

Można było nie znosić Papieży – ale i szanować papieństwo. Można było smagać Papieży biczem krytyki właśnie przez miłość do papiestwa! Byli jednak i tacy, którzy Papieżami zgorszyli się aż do tego stopnia, że stracili wiarę w papieństwo.

Ma swoją historię także „rozpakowywanie się” danej już Piotrowi władzy prymatu w Kościele. Każdy biskup zastępuje Chrystusa – dla wiernych swego kościoła lokalnego; ale tylko Biskup Rzymu jest zastępcą Chrystusa dla całego Kościoła, dla każdego wiernego, skądkolwiek by był.

Odkrywanie wszystkich konsekwencji tego daru było bolesnym procesem: zapewne Papieżom nieśmiałym lub jakoś ubezwłasnowolnionym łatwiej było nie upominać się o „swoje”, nie narażać na zarzuty arogancji i żądzy władzy – natomiast Papieże śmielsi i z natury bardziej władczy mogli dawać się ponieść przesadzie, dając przy tym podstawy do oskarżeń. A jednak rację – tę ewangeliczną rację związaną z koniecznością zapewnienia Kościołowi jedności – mieli raczej ci, którzy – jak Wiktor I, Damazy czy Grzegorz Wielki – domagali się posłuchu (od innych biskupów), niż ci, którzy z jakichś powodów unikali „ingerowania” w sprawy innych patriarchatów i diecezji.

Wraz z upływem czasu Papieże byli prowokowani przez rozmaite kryzysy i spory wewnątrzkościelne do tego, aby powiedzieć, że pierwszeństwo Biskupa Rzymu nie jest ani tylko zaszczytem, ani nawet pragmatycznym rozwiązaniem w sytuacji, gdy „ktoś musi rozsądzić”; nie, prymat ten jest widzialną zasadą jedności Kościoła udzielonym następcy Piotra przez Boga „uprawnieniem Stolicy Apostolskiej”.

Konsekwencje tego, że „sługa sług Bożych” (jak nazwał się Grzegorz Wielki) jest „słodkim Chrystusem na ziemi” (jak mawiała w XIV wieku święta Katarzyna ze Sieny, patrząc na walki Papieży i antypapieży...), opisano dokładniej dopiero w dogmacie o prymacie Piotrowym ogłoszonym przez Sobór Watykański I w 1870 roku.

„Rozpakowywanie się” niezmiennej Prawdy o prymacie Piotrowym wprowadzało Biskupów Rzymu w konflikt z tymi, którzy już wcześniej zajęli miejsce przewidziane dla tegoż prymatu – lub traktowali je jako „niczyje”. Łatwiej było szanować Rzym, gdy był jeszcze polityczną stolicą Cesarstwa. Trudniej było uznać najwyższy autorytet Biskupów Rzymu, gdy polityczną stolicą Cesarstwa było już raczej Bizancjum, nie Rzym. A jednak jest się zastępcą Chrystusa nie z powodu przebywania w stolicy cesarza – lecz z powodu bycia następcą Piotra.

Nie sposób, byśmy podążali tu wszystkimi ścieżkami, na których to, co powierzone Piotrowi, dawało się wciąż po nowemu poznać w jego następach aż do naszych dni. Na przestrzeni tak różnych czasów wierność urzędowi Piotrowemu wymagała nie tyle powtarzania tych samych zachowań, gestów czy słów, ile zachowania tych samych zasad i tych samych harmonii. Papież prześladowany przez cesarza-poganina, Papież poddany kurateli przez cesarza-chrześcijanina, Papież szukający ochrony u „barbarzyńskiego” władcy konkurującego z dostojnym i chrześcijańskim cesarstwem, w końcu Papież posyłający korony chrześcijańskim władcom albo i Papież nauczający o prawach podstawowych w demokracji – w każdej tej odmiennej sytuacji stawką była ta sama wolność Kościoła w głoszeniu Ewangelii.

Katolicy wierzą bez zmian, że papieństwo jest podatnym narzędziem Ducha Świętego – wierzą w to mocno, gdyż przyjmują jako Prawdę Bożą. Ta sama wiara buduje różne wyobrażenia. Kiedyś

wyobrażano sobie Papieża jako osobę wyróżnioną jakimiś tajemnymi rozmowami z Duchem Świętym widocznym nad nim jako gołębicą. Dzisiaj uciekamy się raczej do innych wyobrażeń – na pewno mniej śmiałych od tamtych dawniejszych, a pewnie też pocziwych. Wyobrażenia nie opiszą tej wiary.

I tak to w dziejach papiestwa wciąż dzieje się coś „po raz pierwszy w dziejach” – czasami właśnie dlatego, aby niezmiennie trwał – i był wykonywany – potrzebny Kościołowi urząd Piotrowy.

Gdy Benedykt XVI ogłaszał akt swej rezygnacji, przedstawiano to chętnie jako decyzję „bezprecedensową”. Co więcej, próbowano tę decyzję przedstawić jako wyłom w wielowiekowym pojmowaniu papiestwa. Tymczasem Papież Benedykt pojmował ją jako konsekwencję różnicy między portretem-Papieżem i ramą-papiestwem.

W swoim oświadczeniu o rezygnacji Papież powołał się wyraźnie na to odróżnienie między misją i osobą. Można powiedzieć, że w ocenie sytuacji on sam przestrzegał biblijnego polecenia, by przy ważeniu racji „nie mieć względu na osobę”. Z krótkich, lecz treściwych uzasadnień dowiedzieliśmy się tyle, że rozpoznał swoją osobistą niezdolność do pełnienia misji Piotrowej.

W co mądrzejszych komentarzach można było przeczytać, że rezygnacja Benedykta przesunęła nagle ciężar uwagi z osoby na urząd. Pytanie, czy skorzystaliśmy z tej niezwykłej okazji, żeby bardziej zrozumieć i przyjąć tajemnicę papiestwa.

Mylenie osoby i jej zadania, osobowości i instytucji to jedna z ulubionych skłonności naszych czasów. Nie na darmo już w latach 40. ubiegłego wieku Gustave Thibon, jeden z najbardziej spostrzegawczych obserwatorów nowoczesności, utyskiwał w *Diagnostics* na „katolików, których wiara w autorytet papieski wiąże się z rodzajem dziecinnego kultu osoby Papieża”. Thibon widział to jako zagrożenie wynikające z pewnej ogólniejszej choroby: „Obecnie instytucje toleruje się nie inaczej, jak właśnie przez ubóstwioną osobę, a pewne ramy uważa się za rzecz abstrakcyjną lub martwą”. Nie zważając na te zreferowane wcześniej „personalistyczne” przesady epoki, mędrzec wyjaśniał, że „to, co nie jest osobą, także może być żywe i konkretne. A ramy, które wynoszą, ochraniają i przekraczają osoby, także mogą być kochane, i to gorąco!”. Trzeba tylko spojrzeć głębiej. „W końcu, za owymi

ramami kryje się osoba Boga – jedyna, którą można wielbić bez szkody – która wszystko ożywia i chroni...”

Thibon o tym „swego rodzaju dziecinny kulcie osoby Papieża” pisał w trakcie pontyfikatu Piusa XII, jednego z wielkich i świętych Papieży ery nowoczesnej. Ich pojawienie się następowało po kilku wiekach swoistej posuchy na świętych Papieży (z perspektywy wieku XIX ostatnim kanonizowanym był Pius V z XVI, a beatyfikowanym – Innocenty XI z XVII wieku!): najpierw błogosławiony Pius IX, potem święty Pius X, a potem następni, których Kościół rozpoznaje dzisiaj jako „sługi Boże”, wraz z błogosławionym Janem Pawłem II. W odwiecznych ramach misji Piotrowej stawali kolejni wielcy następcy Piotra – tym razem także w pozach przywódców Kościoła w niebywalej konfrontacji z masowymi ideologiami laickimi. Doprawdy, miał się czym żywić i w czym uprawomocnić ów „dziecinny kult osoby Papieża”!

Czy ten personalny zachwyty wzmocnił, czy osłabił swoją rzeczywistą podstawę: katolicki kult papieżstwa, struktury pochodzenia Bożego? Odróżnianie tego wydawało się chyba wielu ludziom rozdzielaniem włosa na czworo: uznawano, że stawiając pomniki Papieżowi, dokonuje się wielkiego dzieła katolickiego.

Były to jednak coraz częściej portrety pozbawione ram, a więc ekstaza, w której uznawano, że to nie papieżstwo niesie Papieża i Kościół, lecz ten czy ów Papież „budował pozycję papieżstwa”. Pozycja ta niekoniecznie miała – w tym odbiorze i w takiej pochwałę – związek z urzędowym nauczaniem i aktami władzy Piotrowej, lecz właśnie z osobistą świętością, czasami nawet po prostu z intrygującą aparycją papieskich zachowań. A niekiedy wręcz z rozczerwieniem przysłowiowymi „kremówkami”.

Zresztą nie zawsze miało to wymiar jedynie tak ciepły. Z całą słusznnością pisał nie kto inny, jak kardynał Ratzinger w książce *Duch liturgii* o rosnącej wraz z nowoczesnością pokusie, aby Papieża traktowali swoją personalizowaną władzę w kategoriach swoistego absolutyzmu. Co ciekawsze, jako apogeum tego absolutyzmu przedstawił moment, gdy po Soborze Watykańskim II uznano, że Papież nie tyle jest sługą tradycji, ile wielkim projektantem „nowych, lepszych” narzędzi ewangelizacji. Paradoksalnie to nie w epoce Trydentu i nawet nie w epoce Piusa IX, lecz w zupełnie niedawnych czasach posoborowych zbliżyliśmy

się do naprawę groźnego przeświadczenia, że – wyjąwszy jakieś absolutne wyjątki – „Papież może wszystko”.

A przecież nie może. Jedną z najbardziej dobitnych oznak władzy duchowej – tej suwerennej władzy Papieża – jest zawsze *non possumus*, „nie możemy”. Nie możemy, ponieważ nie mamy takiego upoważnienia! Albowiem – o czym była mowa na początku – Papież jest zastępcą, a nie głową; stróżem depozytu, a nie jego twórcą lub przetwórcą.

Uświadamiał to nam Jan Paweł II, gdy na żądanie dopuszczenia kobiet do święceń kapłańskich odpowiedział właśnie: nie możemy, ponieważ nie mamy takiego upoważnienia. Ówczesny kardynał Ratzinger mawiał w związku z tym z uśmiechem: zwolennicy kapłaństwa kobiet i innych takich zmian są najwyraźniej wyznawcami wszechmocy Papieża; ale Papież nie wierzy we własną wszechmoc.

Gest Benedykta XVI – jakkolwiek był na pewno podyktowany po prostu i przede wszystkim rachunkiem pożytku Kościoła i osobistą pokorą – stał się zarazem taką kolejną lekcją „niemocy” kogoś tak mocnego jak Papież. Wiedzieliśmy dobrze, że Papież chorują i umierają. Teraz zobaczyliśmy z całą ostrością, że ich misja jest ważniejsza i różna od ich osób.

Warto skorzystać z tej lekcji, w tym naszym świecie, w którym – to znów Thibon – „oczy i serca dostrzegają tylko jednostki”, na których barki „zrzuca się ciężar całych instytucji, które wznoszą się i upadają wraz z nimi”. Oto wymaganie, które stawia się coraz częściej także wobec Papieża – reagując złością i rozczarowaniem, gdy nie spełniają tego wymagania, by przesłać sobą całą „Bożą instytucję”.

Po rezygnacji Benedykta XVI, zgodnie także z jego wolą, kardynałowie wybrali nowego Papieża: dożywotnio, z pełną wolnością rozeznania warunków, w których ma być pełniona misja Piotrowa. W momencie wyboru ten, którego wskazało konklawe, zaczyna się rodzić Papieżem. Rozpoczyna się bardziej lub mniej dramatyczny etap „bólów porodowych” dla całego Kościoła: wybrany, już „poczęty”, wchodzi w ramę papieżstwa, tak jak wchodziło w nią jego dwustu kilkudziesięciu poprzedników, każdy w swoim stylu. Wobec nas stanął obecnie w tej ramie kardynał Bergoglio – już nie on, lecz Papież Franciszek. ■

